Marek Opaska

„Czarny Kruk”

11

Korniszony, iskry i opowieść bez końca.

Karina nie zasnęła tej nocy ani na minutę. Oczy miała wielkie jak kasztany. Serce pompowało resztki adrenaliny. Emocje po takim wyczynie nie dadzą się szybko okiełznać. Oddech miała już jednak spokojny. Siedziała sama, na pniu, oparta o drewnianą chatę, w której przed chwilą, podłoga aż drżała od tańców i swawoli. Dłubała cierpliwie ziarna z ulubionej, żółto-szaro-czarnej rośliny. Podziwiała ciszę, jaką można usłyszeć jedynie wczesnym rankiem, o wschodzie słońca, gdy wszyscy jeszcze śpią a matka natura cudownie spowalnia bieg swego skomplikowanego organizmu. Postanowiła, że dziś poza zasłużonym lenistwem i ogniskiem po zmroku, odwiedzi też Antosia. Nie zasłużył na jej względy, ale serce jej podpowiadało, że tak trzeba. Od dziecka dbała o wszystkie ziemskie żyjątka i organizmy. Wpadała w istny szał, jak ktoś, kto nie może podrapać swędzącej części ciała gdy widziała choć próbę zlikwidowania muchy czy wyrwania roślinki bez powodu. Wstała powoli, wrzucając do kompostu pusty słonecznik i ruszyła w drogę.

Antoni leżał na oliwkowo-zielonym, polowym łóżku, owinięty w prowizoryczne bandaże, zrobione starannie ze starych, bawełnianych ubrań. Gdy oczy Kariny przyzwyczaiły się do panującego tu półmroku, zobaczyła go i o mały włos nie parsknęła niestosownie śmiechem. Bandaże nie były białe. Najczęstszym, najbardziej dostępnym kolorem odzieży, jaki nadawał się na opatrunki, był szary, czarny lub zielony. Pech chciał, że dla Antosia zostały już tylko te w różnych odcieniach zieleni. Wyglądał przez to, na pierwszy rzut oka, jak wielki, obolały, stękający korniszon. Karina zakryła szybko usta ręką i podeszła bliżej schylając głowę.

- Dzień dobry. - przywitała się grzecznie z rodzicami chłopaka, skrywając uśmiech.

- Dzień dobry Karinko. Miło Cię widzieć. Już po zabawie? - zapytał tata Antosia.

- Tak, pożegnałam niedawno ostatnich imprezowiczów. Szkoda, że nie było nas wszystkich.

- Przykro mi, że nie mogliśmy Ci towarzyszyć w tak podniosłym momencie, ale sama rozumiesz. Zdrowie naszego Antosieńka jest najważniejsze. - stwierdziła mama, nie odklejając oczu od syna.

- Pewnie chcesz z nim porozmawiać?! Damy Wam zatem trochę prywatności. Prawda kochanie?. - stwierdził tata po czym, nie czekając na odpowiedź, wziął żonę pod ramię i trochę na siłę wyszli z namiotu na oślepiające, poranne słońce.

- Cześć. - zaczęła Karina, ciepłym i przyjacielskim tonem.

- Jak się czujesz? Maści pomagają?

Antoś nie odpowiedział. Odwrócił tylko głowę w przeciwnym kierunku.
- Nie chciałam, żeby tak się stało. Wierzyłam, że pokonam Cię uczciwie, ale pojawił się ten niedźwiedź i....spanikowałam, bo to był obcy mi niedźwiedź. Nie można przecież rozmawiać z nieznajomymi. Zwłaszcza z nieznajomymi, którzy mają ostre zęby i jeszcze ostrzejsze pazury. Co miałam robić?! Pobiec za wami i poprosić Pana Misia, żeby dał Ci spokój?
- Idź sobie. Nie chcę Twojego współczucia - odburknął przez zaciśnięte zęby Antoni.
- Ok. Jak sobie chcesz. Myślałam, że przyda Ci się towarzystwo. Poza rodzicami nikt Cię jeszcze nie odwiedził, a chwaliłeś się zawsze, że masz tylu przyjaciół. Widać, pomyliłam się. Przepraszam. - Kładę Ci na stoliku Twoje ulubione ziarna słonecznika. Życzę dużo zdrowia. Mam nadzieję, że dasz radę przyjść wieczorem na ognisko.

Chłopak nic nie odpowiedział. Wymacał tylko zabandażowaną ręką, zawiniątko z ziarnami i z całą siłą uderzył w nie otwartą dłonią, wywołując słonecznikowy deszcz. Ziarna rozprysnęły się po wszystkich zakamarkach lecznicy. Karina zacisnęła pięści, wbiła krótkie paznokcie w dłoń do czerwoności. Piegi na jej twarzy stały się w jednej chwili bardziej intensywne, ale nie zareagowała. Nie skomentowała tego co się właśnie stało. Odwróciła się szybko i wyszła, zakrywając całym przedramieniem twarz przed oślepiającym światłem. Resztę dnia postanowiła przebumelować wisząc spokojnie w hamaku nad rzeką.
- A co. Należy mi się. A Antoś niech tam się kisi jak przystało na ogórka. - pomyślała i skierowała swe kroki ku wodzie.

***

Mieszko stał w cieniu. Oddalony o kilka metrów od całego zbiegowiska. Przygotowywał się do wystąpienia. Gładził swą długą, opadającą na lekko zaokrąglony brzuch, siwą brodę, wpatrując się w nieprzeniknioną, kruczoczarną głębię lasu. Lasu, który od wielu lat był jego domem i schronieniem. Lasu, do którego nie chciał kiedyś wchodzić. Głos już mu się nie trząsł jak za pierwszym razem. W gardle nie zasychało. Ręce nauczyły się ciekawej gestykulacji. Tym razem, postanowił rezygnować z czarodziejskich stworzeń czy magii. Dziś, inna myśl powodowała szybsze bicie jego serca. Musiał w końcu opowiedzieć długo skrywaną historię.

Śpiewy ucichły. Mlaskanie i przeżuwanie kawałków grillowanego mięsa mieszało się z pohukiwaniem sowy i sykiem wylatujących iskier. Mieszko usiadł na wyrośniętym korzeniu dębu i zaczął opowiadać.

- Wiele wiosen temu, w wielkim mieście, mieszkał chłopiec. Żył beztrosko i wręcz bezstresowo. Rodzice zapewniali mu wszelkie dobrodziejstwa tamtej cywilizacji. Nie musiał martwić się o jedzenie czy wodę.. Niedźwiedzie, wilki i inne drapieżniki widywał jedynie w elektronicznych grach, na błyszczących ekranach, gdzie wyposażony w magiczny miecz i tak miał nad nimi przewagę. Napaścią ze strony obcych też nie zaprzątał sobie głowy. Przed jego domem stał bowiem zawsze wynajęty ochroniarz, a budynek otaczał wysoki płot nad którym poruszały się zwinnie i na nowoczesne kamery, do których miał wgląd na kolejnym super urządzeniu. Rodzice nie spędzali z synem więcej niż kilka godzin w tygodniu. Pracowali ciężko, aby niczego ich rodzinie nie brakowało oraz żeby mogli pozwolić sobie na realizacje wszystkich marzeń. W weekendy brali dodatkowe zmiany. Po powrocie do domu, korzystając z super nowoczesnego, najlepszego na rynku komputera łapali kolejne zlecenia. Od czasu do czasu nawiedzało ich uczucie, że im więcej zarabiają tym mają czegoś mniej, że coś im umyka, ale zwykle wtedy dzwonił kolejny telefon, przychodził pilny email albo sekretarka przypominała o ważnym spotkaniu za pięć minut. Im lepsze guwernantki i prywatne lekcje synowi fundowali, tym mniej chciał z nimi rozmawiać. Im droższe gadżety mu kupowali, tym chodził bardziej przybity. Jego głównym zajęciem, w czasie wolnym, było przesiadywanie w pokoju i wlepianie swych ośmioletnich oczu w kolejne, coraz to nowocześniejsze, wysysające z człowieka energię, ekrany. Chłopak miał jedną przyjaciółkę. Poznali się jeszcze w przedszkolu, gdy ich rodzice mieszkali na jednym osiedlu, w tym samym bloku z wielkiej płyty, bez wysokich płotów czy ochroniarzy. Dwie ulice od jego obecnej rezydencji. Spędzali wtedy każdą chwilę razem, lepiąc babki w piaskownicy, szwendając się po okolicznym lasku czy wjeżdżając na ostatnie, jedenaste piętro bloku, tylko po to żeby ofiarować przechodniom na chodniku trochę deszczu z czerwonej konewki. Niestety, wszystko zmieniło się gdy chłopak zamiast przyjaciółmi zaczął otaczać się tylko elektronicznymi gadżetami i przestał wychodzić z domu. Przyjaciółka przychodziła wielokrotnie w odwiedziny, żeby pobawić się jak kiedyś. Chłopak nie zakazywał jej tego, lecz gdy byli razem, skupiał się tylko na zdobywaniu punktów i przechodzeniu nowych poziomów w następnych grach, na kolejnych tabletach i telefonach.

- Fajne są te Twoje gry. Takie kolorowe i w ogóle, ale oczy mnie już od tego bolą. Głowa pęka od braku tlenu. Chodźmy na dwór. Ptaszki pięknie ćwierkają. Słonko delikatnie muska skórę. W rzece, w naszym lasku już pewnie ryby z gór spływają. - przekonywała przyjaciółka.
- Teraz nie mogę, przechodzę nową super grę - odburknął chłopak.
- Powiedz mi chociaż, co tam jest takiego super, czego nie ma na zewnątrz. Przekonaj mnie, że ciekawsze jest życie z nieczułym urządzeniem, od zabawy ze mną, to dam Ci spokój. - dziewczyna usiadła obok przyjaciela i wzięła do ręki zielone pudełko z rysunkiem jakiegoś drzewa na środku, ale nic z niego nie mogła wyczytać. Nie było tam ani opisu fabuły ani instrukcji obsługi. Nic. Tylko pudełko, a w środku zielona płyta.
- No jak to co. Mogę latać jak ptak, być mądry jak mędrzec i biegać szybko jak wilk. Tworzę całkiem nowy świat i jeszcze ten dodatek, o którym powiedział mi sprzedawca. Istna rewelacja. Mogę wszystko. Nie zrozumiesz jeśli nie zagrasz.
- Wszystko to, możemy mieć też tam, w realnym świecie. Uwierz mi. Serio! Chodź to Ci pokaże.
- Nie mam teraz czasu. Nie widzisz, że buduje schronienie dla ludzi. Za każdy namiot zdobywam sto punktów, a za tysiąc punktów mogę już wybudować drewnianą wierzę strażniczą. Widzisz że nie mam teraz czasu. Może jutro. Idź sama.
Przyjaciółka przez cały rok próbowała przekonać chłopaka do zabawy na świeżym powietrzu. Namówiła nawet jego rodziców aby zaraz przy jego oknie posadzili kilka ładnych drzewek i zbudowali wokół nich super nowoczesny plac zabaw ze zjeżdżalniami, małą kolejką górską i mini basenem. Nic to nie pomogło. W ostatni dzień szkoły, postanowiła spróbować po raz ostatni.

I jak myślicie, co się stało dalej? - przerwał opowieść Mieszko i z udawanym trudem w głosie, zwrócił się do zebranych.
- Przyjaźń się skończyła i każdy poszedł w swoją stronę?! - powiedział jakiś mężczyzna w kurtce moro z długim łukiem na plecach.
- Chłopak w końcu zmądrzał i wyszedł się pobawić, a potem żyli długo i szczęśliwie?! - zaproponowała mama Kariny siedząca obok Mieszka.

- Na dom chłopca spadł kupowy meteoryt ze smarunami niedźwiedzia i nikt ich więcej nie widział?! dodał zza pleców wszystkich Antoś, który pozbył się już bandaży i został na czas opowieści wypisany z lecznicy.
- Antoś! Tak nie wypada. Natychmiast przeproś! - od razu skarciła syna jego mama.
- No dobra, dobra. Przepraszam. Zmieniam moją propozycję. Wtedy nastąpiła cała ta katastrofa, która wyniszczyła ludzkość. Przyjaciele się rozstali i słuch po nich zaginął.
- To wszystko możliwe. - zaczął powoli Mieszko. - pozwólcie, że opowiem Wam prawdziwe zakończenie innym razem. Wypiłem dzisiaj za dużo syropu brzozowego i mało jadłem. Strasznie mi słabo i kręci się w głowie. Muszę się położyć. Pamiętajcie że nie mam już ośmiu lat żeby tryskać energią.
- No ale jak to. - zaczął komentować wzburzony tłumek. Twoje opowieści są tylko raz w roku, po wielkim wyścigu. Każesz nam czekać aż tak długo na zakończenie?!
- Nie, spokojnie. To pewnie tylko chwilowe osłabienie. Za tydzień, po zbiorach, zrobimy mały wyjątek. Rozpalimy drugie ognisko i skończę to co zacząłem, obiecuję. Ofiaruję nawet na ten cel własny przydział drewna. Ta wiadomość uspokoiła wszystkich.

- Aha - obrócił się jeszcze do zebranych Mieszko - zapomniałbym o najważniejszym. Co roku, zwycięzca wyścigu uzyskuje na tydzień drobne przywileje. Muszę wyznaczyć jedną osobę, aby w tym czasie niczego Karinie nie brakowało a część jej obozowych obowiązków została należycie wykonana w czasie gdy ona będzie korzystać z uroków nagrody. Postanowiłem, że tą osobą, za swoje nieodpowiednie zachowanie podczas wyścigu, będzie Antoni.
- Ale, ale Panie Mieszko może jednak ktoś inny? Ktoś kto chociaż lubi Karinę? Przy mnie będzie się tylko denerwować zamiast odpoczywać. - rzucił trzęsącym się głosem Antoś.
- To zrób wszystko, żeby jej nie denerwować. Zresztą, do niczego nie będę Cię zmuszał. Masz wybór w tym tygodniu. Możesz albo dogadzać Karinie albo czyścić nasze obozowe toalety. Na pewno nie jednego śmierdzącego meteora tam znajdziesz. To jak będzie?
- No dobra już dobra. Alleluja i do przodu. Zrobię to - zakończył rozmowę Antoś spuszczając zawstydzoną głowę.
- Cieszę się. To jeszcze wyjdzie Ci na dobre. Zobaczysz. - podsumował Mieszko.

Po tym wydarzeniu każdy zajął się dalszym ucztowaniem a opiekun obozu udał się w stronę swego namiotu.

Czarny kruk wzleciał nagle z drzewa, na którego wystającym korzeniu siedział przed chwilą starzec i udał się w kierunku jego namiotu. Wyglądał trochę tak, jakby go śledził.